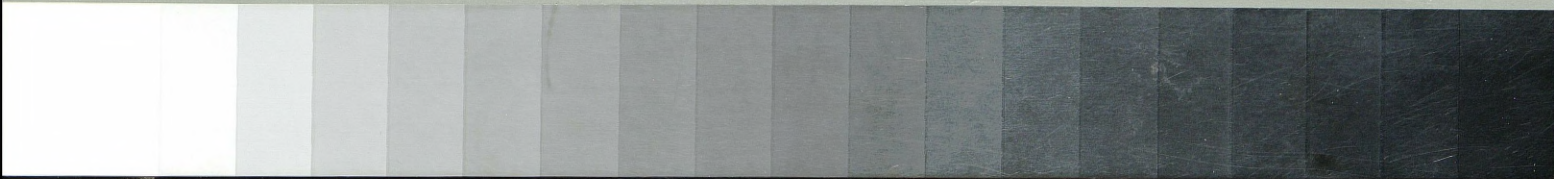


Grey Scale #13



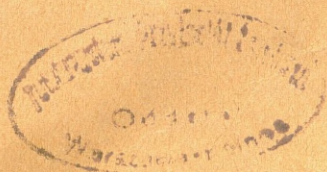
DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



JÓZEF WASOWSKI

Z PAMIĘTNIKA WOJENNEGO



WYDAWNICTWO LITERACKIE

W A R S Z A W A
1 9 4 5



150
JÓZEF WASOŃSKI

Z PAMIĘTNIKA WOJENNEGO



WYDAWNICTWO LITERACKIE

W	A	R	S	Z	A	W	A
1		9		4			5

K
JÓZEF WASOWSKI

WARSZAWA
SWEMU OBRONCY
na Gwiazdke

2 105
Biblioteka
Miejski Związek
Kulturalny

Z pamiętnika
wojennego



WYDAWNICTWO LITERACKIE

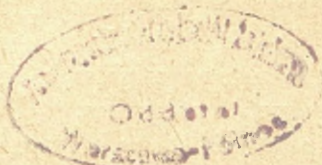
W	A	R	S	Z	A	W	A
1		9		4		5	

884-4

WYDAWCA
KSIĘGARNIA



342NO/2



ZRÓWNANIE

W schronach i piwnicach, w wagonach i na drogach, w lasach i na polach przebywaliśmy z nieznanymi nam ludźmi, objęci jednakową trwogą. Upodobniły nas lęk i groza. Byliśmy tacy sami w okrzykach przerażenia i tacy sami w milczeniu, kiedy świadomość niemocy odbierała nam głos.

Jednakowo wszystkie męczyły nas udręki. Nigdy przedtem nie doznaliśmy takiej wspólnoty losu. Zrównaliśmy się w obliczu śmierci i w pytaniu: będziemy żyli czy zginiemy?

Pocisk... Zginął człowiek, wydał tylko krótki okrzyk...

Drugi pocisk... Zginęło dziecko w rękach matki. Nieprzytomna z bólu, jak wszystkie matki na świecie, kiedy się stanie taka rzecz straszliwa.

Chwila ciszy. W tej ciszy zamierało serce. Na kogo teraz kolej?

Grad pocisków... Skłębilo się wszystko. Ciemno. Jęki i okrzyki. Nie wiadomo, kto zginął. Uciekamy — jednakowo, tacy sami w panice i strachu.

Na drogach — trupy, dziesiątki, setki, nie wiadomo ile.

Podobne, w okropności swojej jednakowe.

W ucieczkach i wędrówkach poginęli bliscy. Gdzie są teraz? Czy żyją? W wielu sercach jednaki niepokój, taki sam ból rozłąki i taka sama tęsknota.

A potem — po dniach grozy najwyższej — zrównanie tych, którzy stracili wszystko.

Bardziej podobni są do siebie ludzie, niż sądzili w czasach pokoju, wyolbrzymiając dzielące ich różnice. Trzebaż było aż wielkiej, powszechnej katastrofy, by przypomnieć tę prawdę, że

człowiek człowiekowi w istocie swej równy, albowiem jednakowo cierpi i tak samo umiera. Wyniosłością swoją zasłaniailiśmy tę prawdę, która głosem tak gromkim wołała w dniach wojny.

Różnisz się rozumem od prostaka? Czy to powód, żeby prostak doznawał męki głodu i chłodu, zawsze takiej samej?

Oplywasz w dostatkach i nie lubisz jakichkolwiek braków? Nędzarz też nie lubi swych lachmanów.

Zmogła cię choroba? Biedak w bólu fizycznym, tak samo jak w moralnym, nie różni się od ciebie.

A kiedy przyjdzie niebezpieczeństwo wspólne, nie inaczej ratujesz swoje życie.

Więc i porządek świata, dla wszystkich niebezpieczny — zniszczeniem, ruiną, kataklizmem grożący, jeśli ma być odmieniony, to dla wszystkich.

Zachowajmy w pamięci zrównanie czasu wojny.

SILY UTAJONE

Wojna ujawniła dziwy natury ludzkiej. W wielu z nas siły psychiczne były tak spotęgowane, że doprowadziły wytrzymałość fizyczną do niespodziewanych granic.

Ratowaliśmy mienie i życie w warunkach, które wymagały siły fizycznej, na jaką nie zdobylibyśmy się nigdy przedtem. W podeszłym wieku spełnialiśmy czynności, do jakich normalnie zdolna jest jedynie silna młodość. Zmożeni wieloletnią chorobą zrywali się z łóżek, by udać się w bezpieczniejsze miejsce i obywali się bez pomocy lekarskiej. Dolegliwości rozmaite znikaly w wilgotnych piwnicach. Słabi nieśli dzielną pomoc przy gaszeniu pożarów. Starcy odbywali pieszo setki kilometrów.

Skąd te siły nam samym nieznane? Skąd zasób energii, jakiej nie wydobyliśmy z siebie nigdy?

Ujawniła ją konieczność, mus, wyzwoliła ją wola życia, najsilniejsza z pobudek, sprężyn i motorów wszelkiego wysiłku.

Jakże bardzo chcemy żyć!

Zwycięstwa woli życia dziwiły lekarza. Stał wobec zjawiska z rzędu tych, które wypełniają życie świata, a które są jeszcze dla nauki tajemnicą. Dziwił się lekarz, albowiem wiedza jego nie wyjawiała mu tajemnicy siły psychicznej.

Jakże mocny byłby człowiek, gdyby utajone w nim siły wyzwalal i zużywał nie tylko wtedy, gdy ratuje życie, lecz również, gdy je buduje i bogaci. Trzeba by na to wielkiej odmiany, trzeba by większej dla wszystkich wartości istnienia, więcej dla wszystkich dobra, radości, piękna życia. Jeśli je każdy ratuje, natężając swoją wolę, choć dla większości było zle i niedoli pel-

ne, z jakąż potęgą woli mógłby je budować, zaznać niewy-
słowionej urody życia!

Niezmierzone są straty sił z człowieka niewydobytych i nie-
wyzyskanych, fizycznych i duchowych.

Rodzaj ludzki znęca się nad sobą. Trwoni żywioł życia.

CZŁOWIEK POMNIEJSZONY

Jest noc. Uciekamy z płonącego domu. W pobliżu wszystko objęte pożogą. Naszą świadomość wypełnia jedna myśl: znaleźć się dalej od pożaru. Biegniemy. Najbliższy, jedyny w tej chwili cel osiągnięty: stoimy w bramie jakiejś kamienicy. Tu się przenocuje. Mija parę godzin, bołą nogi. Nie ma na czym usiąść. Jedyne pragnienie, jedyna myśl: skądby tu dostać krzesło, stół? Udało się, siadamy. Teraz — zasnąć... Wszystko jedno, co się dzieje. W nas samych tylko ta jedyna chęć: zasnąć. Słysząc huk armat, wybuchy bomb, pękanie murów i padanie gruzów. Wszystko jedno, wszystko jedno, tylko zasnąć... Po przebudzeniu — sucho w gardle. I znowu cel najbliższy, w tej chwili jedyny: napić się wody.

I tak rozpoczęło się nowe życie rzesz wielotysięcznych: weszło pod znak celów najbliższych, wypełniło się troską o najbliższe godziny, o dzień jeden, o dni parę.

Gdzie się przenocuje? Gdzie można się umyć? Gdzie coś zjeść? Zimno. Skąd otrzymać węgiel? Piec dymi. Ciemno. Jeszcze tu powinien być kawałek świeczki. Szukamy...

Ubranie podarte, trzeba zacerować, kto ma igłę i nici? Obuwie zniszczone, skarpetki w strzępach. Na razie podłożymy teksturę, a stopy owiniemy gazetą. Tak, doskonale, na parę dni z obuwiem — spokój...

Świta, trzeba iść do ogonka po chleb. Jak długo tu będziemy stali? Mija godzina, dwie, trzy. Już blisko wejścia, jeszcze jakiś kwadrans... Już dają, mamy chleb.

Zimno. Właściwie te książki — niepotrzebne, można nimi napalić w piecu. W pokoju pełno dymu — no, trudno...

Trzeba iść po wodę. Żeby tak mieć większe wiadro! Mniej było by chodzenia po wodę, chociaż — z drugiej strony — z tym małym kubelkiem — lżej, tylko że szkoda tyle czasu, bo trzeba dzisiaj znaleźć dyktę. Może nie na obydwa okna, bo za droga, więc jedno zabije się dyktą, a w drugie wstawi się szkło z obrazów. Większych mamy dwa, starczą na okno, przykraje się, trzeba skądś pożyczyć diament, szklarze wyzyskują sytuację. Z mniejszych obrazków będą szybki na górne okno.

Ile mamy jeszcze nafty? Na dwa, trzy razy. Trzeba palić tę mniejszą lampkę, to starczy na pięć, sześć razy.

Te gruzu najlepiej wyrzucić przez okno, tylko niech ktoś stoi na ulicy i uprzedza przechodniów.

Tu przybijemy gwoździe na ubranie i przykryjemy je prześcieradłem. Strzępami z popalonych firanek zatka się szpary w drzwiach, bo wieje.

Sąsiad kupił słoninę, może kawalek odstąpi, albo lepiej — damy mu za to soli, bo mówił, że nie ma, a my mamy dwa kilo...

I tak toczy się dzień po dniu w życiu człowieka pomniejszonego. Rzeczy małe, codzienne, przytłaczające, a niezbędne, stały się przedmiotem wszystkich jego zabiegów. Zmalal, bo oddalił się od rzeczy nie niezbędnych.

Nie było wojny, był pokój. A tak właśnie bytowały rzesze wielomilionowe: pod znakiem potrzeb najniezbędniejszych i celów najbliższych, wtrącone w taką walkę o byt, która pomniejsza, zabija w człowieku wszystko, co z ducha i dla ducha.

Jeśli po wielkim przełomie nastąpi powszechna odmiana zbiorowego życia, to w tym się wyrazi, że człowiek nie będzie pomniejszony przez terror rzeczy małych.

OBLĘD

Złowroga noc. Miasto wsłuchuje się w świst kul, trzask szrapneli, wybuchy bomb. Na ulicach pusto. Tylko od czasu do czasu ktoś przemknie się, przebiegnie... Chwilami — cisza. Wtedy slychać najlżejszy szmer, najdrobniejszy szelest, każde poruszenie, cichy oddech. W takich chwilach ludzie proszą o ciszę zupełną.

Z daleka slychać, jak ktoś biegnie i coś woła. Kroki rozlegają się coraz głośniejsze, słowa coraz wyraźniej. Ktoś pędzi już pod naszymi oknami i krzyczy:

— Panowie, panowie! Ha, ha, ha! Uwaga, Szopen gra! Panowie! Ha, ha, ha! Uwaga, Szopen gra!

Powtarza to wciąż i pędzi dalej.

Jeszcze slychać z daleka:

— Panowie! Panowie...

Obląkany. Nie wytrzymał muzyki wojny. Słyszy Szopena w armatach i bombach. Chce, żeby inni również słyszeli Szopena grającego w tę okropną noc. Szopen gra wojnę.

Panowie, ha, ha, ha! Szopen przy fortepianie grzmi to-nami pocisków. Słuchajcie! Jaka muzyka straszna i wspaniała! Uwaga, panowie! Jaki koncert piekielny. Szopen, panowie, Szopen, ha, ha, ha!....

Coraz cichsze to wołanie. Szaleniec zaniósł dalszym ulicom swoją dziwną wieść.

Na ulicach często widzieliśmy ludzi, którym obłąd czaił się w oczach, ujawniał się w gestach, w podskokach, w tańcu, w śpiewie.

Ten był dobrym pracownikiem, spokojnym, pożytecznym człowiekiem. Tamten był artystą, tworzył rzeczy piękne.

Jeszcze inny budował domy, z których niejeden — teraz właśnie... A znów ten! Boże litościwy! Zginęli mu wszyscy najbliżsi. A tamci — wynieśli oblęd z pola bitwy.

Przeinaczył im się świat, wszystko się nagle zmieniło. Teraz jeden jest królem, drugi — prorokiem, trzeci — wybawicielem świata. Inni będą do końca dni swoich słyszeli strzały, będą widzieli wszędzie krew rannych, konających. Śmiech radości życia zamienił się im w opętany chichot. Śmieją się, krzyczą, płaczą oblękani, tysiące, tysiące ludzi oszalałych.

Wykazywały przed wojną dane statystyczne, że odsetek różnych chorób w państwach cywilizowanych wciąż maleje. Zmniejszała się śmiertelność niemowląt, wzrastała przeciętna długowieczność, słabła plaga gruźlicy. Tylko w tej jednej pozycji — inaczej: wciąż rosła ilość chorych umysłowo. Cyfry tej rubryki skłaniały do zadumy nad cywilizacją współczesną. Jej triumfy — coraz większe i wspanialsze, tylko — coraz więcej oblękanych.... Jakaś nieprawidłowość, jakiś w mechanizmie cywilizacji wielki błąd.

Nowe — z czasu wojny — zastępy chorych umysłowo ów błąd wyjaskrawiają. Będzie widoczniejszy. Zastanowi.

KRANIEC

Styczeń 1940 roku. Niedolę ludzi zwiększył mróz. W miasteczku zabrakło opału. Nie tylko zapasy węgla ale i drzewa zużyte. Spalono już stosy książek, gazet, rzeczy rozmaitych. Jeszcze ktoś niesie kawał deski, budząc wśród przechodniów sensację i zazdrość.

Z tysięcy ust padają pytania: ile dziś stopni? jak to będzie długo? może zelżeje?

W mieszkaniach, suterenach, norach ludzkich — zimno okrutne. A rozpacz największa — że marzną dzieci, drżą, płaczą z zimna. Serce się kraje. Co tu robić? Jak je ratować, biedactwa?

Rodzice też płaczą, choć nie chcą, żeby dzieci widziały.

— Cicho, cicho dzieci!

Rozeszła się wieść, że węgiel ma nadejść, że będą rozdawali na kartki. Poszli ludzie pod lokal „Komitetu”. Mróz coraz większy. Sine twarze, nieprzytomne oczy.

— Nogi mi zamarły.

— Nie czuję uszu.

— Trzeba natrzeć śniegiem.

Pomagają, ratują.

Ktoś upadł, nie wytrzymał.

Do tłumu zbliża się człowiek z tobołem na plecach. Ugina się pod tym ciężarem.

— Puśćcie mnie do Komitetu! Puśćcie mnie do Komitetu! Jest w strzępach. Oczy błędne. Drży i woła:

— Puśćcie mnie do Komitetu! Ja mam opał, mam opał!

Przeciśnął się. Jest już w korytarzu. Woźny dalej nie puszcza. Człowiek z tobołem krzyczy strasznie i rozkazodawczo:

— Musicie mnie puścić! Ja mam opał! Ja im dam opał.
Krzyk ten rozlega się w całym gmachu. Pozwolili wpuścić.
Człowiek z tobołem wszedł do pokoju. Czego tam krzyczy? Co
to za opał?

— Ja mam opał!

Zdejmuje ciężar z pleców i wyrzuca z worka zwłoki swoich
dwojga zmarzniętych dzieci.

● Chwila martwej ciszy.

Teraz już powiedział spokojnie:

— Dajcie im to na opał.

P S Y

Mówiono o psie od czasów niepamiętnych: wierny przyjaciel człowieka. Opowiadano sobie o dowodach tej wierności, jak dzieli radość swego pana, jak odczuwa jego cierpienie, jak ginie na jego grobie.

Wierny przyjaciel człowieka był w czasie działań wojennych niejednokrotnie zdradzany. Był zamknięty w opuszczonym mieszkaniu. Albo, zostawiony przez uciekinierów, tułał się po ulicy i wciąż wracał do domu, nie zastając nikogo. Szukał, miał nadzieję, wył, płakał.

Kiedy dom drżał od pocisków, pies tulił się do nas, jak przerażone dziecko, wpatrywał się w nasze oczy, jakby pytając, co się to takiego dzieje.

Pies odczuwał strach człowieka, dzielił z nim lęk i trwogę, zachowywał ciszę, kiedy zgębienie nasze wymagało ciszy.

Psy zabrane przez obcych wracały do swoich ze stron najdalszych, ginąc z głodu w pustych mieszkaniach, których opuścić nie chciały, jakby decydując w rozpacz: tu było mi dobrze, tu byli moi najbliżsi, tu żyłem i tu żyć przestanę. Tego niejednego pies chciał, nie przyjmując pokarmu od obcych.

Kto nie rozumiał przywiązania do psa, wrogo odnosił się do tych, którzy z psem przybywali do schronu czy piwnicy. Co tu — mówili — myśleć o psach, kiedy chodzi o życie ludzkie.

Niewygodnie było z psem podczas ciężkich wędrówek i tułaczek, w pociągach i na wozach. Człowiekowi było tylko niewygodnie, ale pies nie chciał rozstawać się z bliskim sobie człowiekiem, cierpiał, kiedy mu rozstanie groziło, ginał, gdy nadeszło.

Pomiędzy przyjaciółmi psa a obojętnymi dlań wielka zachodzi różnica. Jedna z tych różnic, które dzieli ludzi na różne gatunki moralne.

Nie ma ludzi prawdziwie dobrych dla ludzi, jeśli nie mają dobroci dla zwierząt. Tę prawdę wyjaskrawił czas wojny, kiedy i psy miały swoją gehennę.

KWIATY

W zbombardowanej Warszawie, kilka dni po wejściu Niemców, pojawili się sprzedawcy kwiatów.

Zatrzymaliśmy się zdziwieni. Tu przecież nie miejsce dla kwiatów. Piękne kwiaty — jakaż to ironia!

Wszystko teraz jest nieszczęściem i grozą, co nam po kwiatach!

Lecz przecież zatrzymaliśmy się przy kwiatach. Dziwią, przykuwają wzrok. Róże, goździki, chryzantemy. Tak, teraz jest sezon chryzantem. Najpiękniejsze są złote. Najpiękniejsze — w słońcu, które dziś świeci tak wspaniale.

Na wystawach kwiaciarni, które mieścili się w domach ocalałych — cmentarzyki kwiatów. Zwiędłe, zaschnięte i jakby z bólu powykręcane. Opuszczone, bez wody. Zgon przedwczesny. No cóż? Nie rozczulajmy się, śmieszna rzecz. Widzieliśmy tyle cierpień ludzkich. A jednak — te cmentarzyki... smutna sprawa.

Snują się wspomnienia, kiedy to kwiaty — w dniach radości i w dniach tragicznych, na zabawach i na trumnach...

Teraz zjawily się znowu w mieście zrozpaczonem. Były, są i będą jak słońce, jak cudowne dziś niebo, jak gwiazdy na niebie.

Kupiliśmy parę chryzantem.



DZIECI

Widziały dużo krwi, zetknęły się z rzeczywistością okrutną, oswoiły się ze wszystkim, co najbrutalniejsze. Dalekie od uroków dzieciństwa, dojrzały przedwcześnie.

Spójrzcie w oczy dzieci, które przeżyły okropności wojny. Całe zło życia wtrąciło i dzieci w swoje kręgi piekielne nie oszczędzając im niczego. Inaczej teraz myślą, straciły duszę dziecięcą.

Słyszały, widziały, przeżyły wszystko, co do świata dzieci nie należy.

Zamiast zabawek miały odłamki pocisków.

Zamiast wesołego gwaru gromady dziecięcej — huk armat i bomb.

Zamiast bajek — straszne zewsząd wieści.

Cierpiały głód i chłód. Kradły, oszukiwały, w walce o byt pomagały starszym, z wszelkich skrupułów wyzwolonym.

Oto dziecko, które walczy z psami przy zabitym koniu. Psy chcą żreć i ono chce ukrajać kawał mięsa. Nadbiegają inne dzieci, wywiązuje się walka podwójna: dzieci z psami i dzieci między sobą.

Oto inne, pomagające matkom w dźwiganiu rzeczy z ograbionego sklepu.

Oto jeszcze inne, urągające słowami, które w ustach czteroletniego dziecka wydają się czymś przeraźliwym.

Wielotysięczne zastępy dzieci rozpuszczono z przytułków, sierocińców, zakładów wychowawczych. Zostały bez opieki lub zabrali je ludzie obcy, wśród których najczęściej znalazły tylko biedę i smutek.

Jacyż to potem będą ludzie?

Wypaczone, zniszczone dzieciństwo daje złe owoce. Przyszłość będzie dźwigała tę klątwę. Rośnie żywioł niedobry. Nowe pokolenie z tych dzieci smutnych, złych, sponiewieranych.

Kiedy profesorowie, nauczyciele, pedagodzy, opiekunowie młodzieży wrócą do swej roli, niech wyteżą wszystkie siły, by pomniejszyć zło nadchodzące. Będą mieli zadanie o wadze dziejowej: w latach odbudowy zniszczyć truciznę z lat wojny, która zawsze i długo mści się na latach pokoju.

Młodzieży, która w swym dzieciństwie nie zaznała dobra, trzeba pokazać i dowieść, że życie świata nie jest tylko, jak owa walka z psami przy zabitym zwierzęciu. Przedwcześnie młodzież ta poznała wszelkie odmiany i gatunki zła, niech pozna, co w życiu ludzkim jest dobre, co może być godne miłości, entuzjazmu, uwielbienia.

Młodzieży najbardziej potrzebni będą ci, którzy ją potrafią moralnie dożywić.

PRZECHODNIE

Szła powoli z głową pochyloną. Westchnęła głęboko. W oczach miała smutek i zmęczenie. I w moich, widać, nie wyczytała pogody. Przechodnie często mówią do siebie bez słów. Choć sobie nieznani, odczuwają wzajemnie swój ból i zbliżają się w cierpieniu.

Zrazu padły z jej ust tylko te dwa słowa:

— Ciężko... Niemcy...

— Tak, ciężko.

Po dłuższej chwili przerwała milczenie.

— Nie warto żyć.

— Ale żyjemy. Więc chcemy żyć... mimo wszystko.

— Po co? Ja już nie chcę. Przecież to straszne.

— Nie ciągle tak będzie.

— Może... Jak to miasto wygląda...

I znowu milczenie.

— Pani bardzo zmęczona, trzeba trochę odpocząć, usiądźmy tutaj.

Siedzimy nic nie mówiąc. Mija kilka minut. Wstała.

— Już pójdę. Dziękuję.

— Wszystkiego dobrego.

Skinęła głową.

*

Jakiś przechodzień wpatruje się we mnie. Minęliśmy się, lecz po chwili wrócił ze słowami:

— To pan... Nie poznałem od razu. Zmienił się pan.

— Wszystscy zmieniliśmy się trochę.

Nie mogę sobie przypomnieć, kto to taki. Musiałem go dawno nie widzieć. Mówi wzruszony.

— Żle pan wygląda.

— Jak wszyscy dzisiaj.

— Czy mieszkanie pana ocalało?

— Część ocalała.

— Mój dom spalony. Mieszkam teraz gdzie indziej — w suterenie, z matką.

— To okropne.

— Nie, wcale nie. Matka bardzo dzielna. Radzimy sobie, jak możemy. A pan?

Opowiadam. Słucha z przejęciem. W pewnej chwili przerywa:

— Tak dzisiaj trudno o chleb. Udało mi się zdobyć kilo, właśnie niosę do domu. Podzielimy się.

— Nie, dziękuję.

— Niech pan weźmie, przekraje się.

— Nie, drogi panie, bardzo dziękuję.

— Niech pan nie odmawia. Chyba, że pan nie chce od byle kogo...

— O, nie! Skądże?

— Więc niech pan przyjmie.

Wyjął scyzoryk i odkrajał połowę.

*

Szedł zgarbiony ledwo powłócząc nogami. Widziałem go jeszcze tak niedawno — pełnego werwy i nadziei. Pracował nad nowym dziełem historycznym.

— Dzień dobry, panie profesorze.

— Dzień dobry.

— Co z panem, profesorze?

— Wszystko spalone. Archiwum, notatki, rękopisy... Lata pracy. Zatrzymałem się na epoce saskiej. Wciąż jeszcze nieoświetlona należycie. Wydobylem nowe rzeczy, niektóre wprost rewelacyjne. Na przykład...

Mówił dłuższą chwilę. Znowu zapomniał, co się naokoło dzieje. Nagle urwał. Przed nami — wóz z kapustą. Spojrzał na wóz.

— Zapytam po czemu.
Kupił główkę kapusty.

*

Stał oparty o ścianę. Pokazał mi liście tytoniowe.

— Może pan kupi.

— A jaka cena?

— Niedrogo... kradzione.

Skrzywił się, jakby polknął coś gorzkiego.

*

Chwiejnym krokiem zbliżył się do ławki.

— Czy pan pozwoli? — pyta uśmiechnięty.

— Proszę, tu miejsce publiczne.

— Tak, ale, widzi pan, jestem podchmielony, wypilo się sporo, a nie wiem, czy pan lubi takie towarzystwo.

— Proszę, niech pan usiądzie.

Usiadł, zapalił papierosa.

— Pan się pewnie dziwi, że w takich czasach...

— Niczemu się nie dziwię.

— Mówię panu, śmiejmy się. Okropne czasy, proszę pana, a my się śmiejmy. *Panta rei* — mądre słowa — płynie, przepłynie, rozumie pan, przeminie... Słonko pięknie świeci.

Oparł głowę o poręcz i zasnął.

*

Znaliśmy się sporo lat. Łączyły nas rozmowy. Bogate. Wielogodzinne. Sztuka, literatura, filozofia... Mówił pięknie, z zapałem, z entuzjazmem. Zapominaliśmy o bożym świecie.

A teraz (październik 1939 roku)... Nasze spotkanie trwało parę sekund. Spojrzeliśmy sobie w oczy i uścisnęliśmy dłoń. Z naszych ust nie padło ani jedno słowo.

*

Po wszystkich udrękach w mieście zrujnowanym — las przede mną i cisza wokół. Za oknem — dostojny, trzechsetletni modrzew, obok srebrny świerk, dalej — kasztany i wierzyby, jeszcze dalej — sosny.

Zmiennymi kolejami losu przeniesiony w odludzie wspominać dni minione.

Jakże różne światy! Tu — spokój kojący, tam — Boże miłosierny!

Tu miejsce czarowne. Za dnia na śniegu kładą się kolory — niebieski, fioletowy... Drzewa pokryte płatami śniegu tworzą najdziwniejsze zjawy. Wielkolud w płaszczu, czarne ptaszysko z białymi skrzydłami, twarz z rozdziawioną paszczą, a na łbie — czapa ogromna, jakiś pajac pochylony ze stożkiem na głowie, a tu znów lalka, nie lalka — oczy widać wyraźnie, a tam — między gałęziami* ktoś wyciąga ręce.

Idę przez las. Jasna, srebrna noc. Śnieżne misterium. Czarą wokoło. Szepty, szepty cichuteńkie.

Piękne jest życie, cudowny jest świat.

A tam... Czemu tak?

*

Co tam porabiacie, przyjaciele? Ukrywam się, nie wiem, kiedy się zobaczymy. Jak żyjecie, ludzie znani mi i nieznani?

Nieznajoma pani, któraś nie chciała żyć, czy żyjesz? Może już dzwignęłaś się na duchu, uleczona przez nadzieję? Bez nadziei żyć niesposób. Może ci się coś odmieniło na lepsze? Nigdy nie wiadomo... Nie można przewidzieć, kiedy przyjdzie coś jasnego. Powiedziałem ci, że chcemy żyć, skoro żyjemy. Teraz, po wielu nowych okropnościach, mogę ci powiedzieć, że po doznaniu krańców zła, trzeba się spodziewać odmiany. Tak często przecież bywa.

A ty, dobry człowieku, któryś podzielił się ze mną chlebem! Wciąż myślę o tobie. Wciąż ci dziękuję za wzruszenie na myśl o tym, że są na świecie dobrzy ludzie.

Panie profesorze! Chciałbym cię jeszcze spotkać i usłyszeć z twoich ust, że spalony rękopis — rzecz okropna — to jeszcze nie spalone życie. Zły los zniszczył ci pracę napisaną, nie zniszczył jednak ducha, skoroś mógł wtedy na ulicy — w takiej chwili — mówić, tak jak mówiłeś!

Sprzedawco liści tytoniowych! Pamiętam, jakeś skrzywił twarz. Nie myślałeś nigdy, że to będzie możliwe, że ty właśnie... Przekonaliśmy się w tych czasach, że granice różnych w naszym życiu możliwości są większe, niż to mogliśmy sobie wyobrazić. Czyś znalazł już lepszą pracę?

Nietrzeźwy przechodniu, któryś zasnął wtedy na ławce, obok mnie. Miałeś słuszość — panta rei... Słonko pięknie świeci, a ludzie żyją tak niepięknie... Słonko świeci dla wszystkich, a ludzie — jedni drugich... Straszliwe czasy. Mówiłeś: a my się śmiejmy. Niebardzo wesoly był twój śmiech. Lecz nadejdzie czas, że się roześmiejemy radośnie.

Drogi przyjacielu! Na długo przerwano nam nasze rozmowy. Ostatnia była milczeniem. Teraz każdy z nas rozmawia z samym sobą. Zdam ci sprawę z tej rozmowy, kiedy spotkamy się znowu.

*

Las przede mną i cisza wokół.

U L G A

Każdemu, kto tylko chciał słuchać, opowiadali ludzie o swoich przeżyciach wojennych. Wielokrotnie powtarzali to samo nie tylko najbliższemu, nie tylko znajomym, lecz i obcym, przypadkowo spotkanym. Cały przebieg wydarzeń, wszystkie najdrobniejsze szczegóły...

...Jak to było w tej wędrownicy... Jak było w pociągach i na drogach, ile zrobiło się kilometrów i co to była za męka... Jak było w jaskini i schronie... A podczas tej bitwy było tak... W czasie bombardowania cudem uratowało się życie, pocisk padł tuż, tuż... I właśnie przed chwilą tam się stało. W spalonym mieszkaniu było to a to, uratowało się w ostatniej chwili to... Teraz się mieszka u krewnych. Chwilowo nie wiadomo, co będzie dalej. U nich nie wszyscy ocaleli. To było tak... I znowu opowieść... A w więzieniu, a w obozie...

Słuchaliśmy tych opowiadań dziesiątki i setki.

Byli i tacy, co milczeli. Nie mogli mówić. Ci, którzy doznali rzeczy najokropniejszych. Albo to, co przeżyli, zmęczyło ich straszliwie. Lub — wreszcie — nie chcieli udzielać innym niczego ze swej milczącej rozpacz. Nie szukali ulgi w opowiadaniu o swoim nieszczęściu. Lecz większość ogromna szukała tej ulgi.

Czemu to ulga, kiedy człowiek zbolą opowie innemu, co go spotkało i jak teraz cierpi? Nie prosi o radę, o pomoc. Lżej mu, kiedy mówi. Lżej, kiedy widzi, że słuchający z nim współczuje. Ludzie z nim współczują, więc jakby dzielą się jego nieszczęściem. Przez to wydaje się mniejsze. Współczują, więc nie jest moralnie sam, umacnia się.

Kiedy na ludzi spadnie wielkie zło, mówią, opowiadają o tym, aż póki czas nie zagoi bólu, póki ich życie nie zmieni się na lepsze.

W owym dzieleniu się cierpieniem przemawia jedna z najsilniejszych więzi społecznych, żywioł moralny: współczucie. Człowiek człowiekowi nie jest tylko wilkiem.

CZAS PRÓBY

Kto w latach wojny nie wyzwolił się z terroru rzeczy małych, ten już na zawsze będzie mały.

Kto trwał w zapóźnionym konwenansie, ten jakby grał rolę teatralną już po skończonym przedstawieniu.

Kto nie zdał sobie sprawy z tego, co się działo wokół i czego wymaga nowe życie, ten upodobił się do ludzi, którzy uciekając z płonącego domu zabierają ze sobą rzecz najmniej potrzebną.

Wojna była też czasem próby w stosunkach międzyludzkich. Dała sprawdzian już niezawodny, gdzie więź istotna, a gdzie pozór bliskości, który przedtem mógł ludzić nas w ciągu wielu lat.

Życzliwość, przyjaźń, miłość zdawały egzamin. Rozwiewały się, zapadały w nicość, lub krzepły, nabierały mocy. Czasy próby ujawniły, czym dla nas jest ten, a czym tamten, czym jesteśmy dla jednych, czym dla innych.

Pogubili się gdzieś różni ludzie, bliscy i dalecy. Czyje losy są nam obojętne, czyje nas niepokoją, a czyje budzą trwogę?

Inni znów popadli w nędzę. Na jaki zdobyliśmy się wysiłek w niesieniu im pomocy?

Nadchodzą wieści o tych, co zginęli. Czyj zgon wywołuje chwilę przygnębienia, czyj boli głęboko, a czyj przyprawia nas o rozpacz?

Zaskoczyły nas rzeczy nieprzewidziane, przysło wiele złudzeń, ale i radość przyniosło oddanie prawdziwe.

Odbyła się wielka rewizja tragikomedii ludzkiej — w ogniskach domowych, w gronach koleżeńskich, w zespołach zawodowych, w gromadach społecznych.

Powyznaczamy nowe między sobą dystanse, rozluźnimy
jedne węzły, umocnimy inne, ustalimy nowe pokrewieństwa mo-
ralne.

W latach odbudowy — we wszystkich ośrodkach pracy
i twórczości — potrzebne będzie zaufanie i wiara między bliski-
mi sobie ludźmi. W trudzie nowego dnia jutrzejszego potrzebna
nam będzie pomoc wzajemna najrzetelniejsza. Czas wojny, jako
czas próby, będzie pożyteczny, bo dowiódł, kto kim jest na-
prawdę.

P L A N

Zmianę wielką w naszym życiu sprowadza ta chwila, która mówi nam: nie wiadomo, co będzie jutro. Kiedy wszystko, co było normą, trybem, drogą wytyczoną, przestało istnieć, wszystko, co było planem, straciło swe podstawy. Kiedy wkraczamy pod znak przypadku, zdani na łaskę i niełaskę losu.

Toczyło się nasze życie w pewnych, określonych warunkach. Utrwalaliśmy je, jeśli były dobre, dążyliśmy do ich zmiany, jeśli były złe. Wymagało to pewnej strategii życiowej. Jednostki twórcze, wylamujące się spod rozmaitych reguł i kanonów, urzeczywistniały przecież jakiś swój świadomy plan. Nie ma dążeń realnych bez planu.

Przypadek był tylko przypadkiem, nie zaś prawem, poddającym swemu działaniu całe życie. Mogliśmy wiedzieć i wiedzieliśmy dużo o najbliższym jutrze. Niespodziewane zbiegi okoliczności, nieprzewidziane wydarzenia sprowadzały niekiedy w naszym życiu zmiany czy przełomy, lecz nasza wola, nasze dążenia kierowały nas na naszą, taką a nie inną drogę życia.

Nosimy w sobie część wszechwoli, która pozwala nam na świadome kształtowanie naszego życia — w ramach i granicach umożliwionych przez warunki społeczne. Odczuwamy naszą wolę, mamy świadomość własnych decyzji, są przeto siłą rzeczywistą. Dlatego nie rządzi nami tylko przypadek. I stąd — wszystko, co jest ładem świata ludzkiego. Ładem, więc owocem planu, urządzeniem, nie chaosem.

We wszystkim, co się stwarza i buduje, tkwi prawo planu, warunek powszechnej dorzeczności, zarówno w życiu jednostek,

jak narodu, jak całego rodzaju ludzkiego. Wszelkie wartości kultury i cywilizacji płyną z konstruktywnego planu.

„Nie wiadomo, co będzie jutro” — innymi słowy zatrzymało się nasze życie w swych dążeniach i celach.

„Nie wiadomo, co jutro” — więc porozrywały się ogniwa społecznego łańcucha, ustalo działanie tych czynników, które swoją stałością ułatwiają orientację życiową, pozwalają wiedzieć, co może, co powinno, co musi być jutro.

Wojna, wstrząs, który wprowadza społeczeństwa i narody w chwilowy okres niewiedzy o jutrze, niesie przerwę w działaniu podstawowych norm ładu.

Nadejdą zmiany wielkie, lecz jakkolwiek przeinaczy się świat, utrwali się znowu wartość stałości rzeczy i rola świadomego planu.

ŻYWOTNOŚĆ

Jakże niezwykle inicjatywę rozwijali ludzie w urządzaniu sobie życia w warunkach nowych, nieprzewidzianych!

Jeżeli przebywanie w piwnicy trwało choćby kilka dni, już tam wprowadzano liczne udogodnienia. W schronach, mieszczących większą ilość osób, budził się szybko instynkt społeczny, ustalała się pewna tej zbiorowości organizacja, ktoś jej przewodził.

Mieszkania, które wyglądały jak po trzęsieniu ziemi, doprowadzano do stanu używalności z szybkością bezprzykładną.

Domy, częściowo ocalałe, ratowano od ostatecznej ruiny budząc zdumienie przechodniów, że oto już po kilkunastu dniach całkiem inny mają wygląd.

Przedsięwzięcia i warsztaty pracy, jeżeli był ku temu choć cień możliwości, uruchamiano natychmiast.

Oto wola życia.

Wydobywa się z ruin, wyzwala z siebie nowe siły i płynie dalej — nowymi korytami, rozsadza nowe tamy.

Oto prężność, żywioł życia.

Opancerza się przeciw wszystkiemu, co mu wrogie, lecz zadane rany, nie ustaje w swym rozpędzie.

Czasu wojny widzieliśmy przejawy pomysłowości niezwyklej w walce z przeciwnościami, które piętrzyły się i piętrzyły.

Oto natchnienie życia.

Żal tych, którzy zginęli i nie ujrzą, jak się wszystko do nowego, już lepszego życia budzi.

Żal strat, które powetować się nie dadzą.

Żal cierpień, których już wynagrodzić nie można.

Lecz nie masz strat w ludziach i rzeczach, które zatrzymywałyby życie w jego prawach, potrzebach i dążeniach. Niezawodna mądrość czasu koi najdotkliwszy ból, ażeby nie powstrzymać biegu niczego, co wieczne, nieśmiertelne.

Oto żywotność świata ludzkiego, która we wszystkich warstwach naszego narodu dała znać o sobie.

Z tej potęgi, z tego źródła zrodzą się nowe wartości, zdobywcze, zwycięstwa.

Wyprostujemy ramiona, naprężymy mięśnie, wzniesiemy myśl naszą jak najwyżej. Wkrócymy w życie nowych dziejów, zubożeni nauką wielkiego cierpienia. Okrzepniemy. Duch dobrej odmiany rozda nam swoje uśmiechy i nadzieje.

Oto radość życia.

NOWI LUDZIE

Zjawia się na widowni społecznego życia nowi ludzie. Nowi działacze, politycy, kierownicy nawy państwowej. Przystępują do pracy i walki w innej epoce.

Nie ma w historii nawrotów całkowitych. Powtarza się wszystko, co płynie z trwałości lub niezmienności natury człowieka — nic tu istotnie nowego — lecz im większy wstrząs, tym większa zmiana w warunkach życia społecznego.

Naród, złączony z dniem dawnym tymi mostami, które spaść się nie dają, stając wobec wielkiej odmiany w warunkach swego bytu, wobec nowych zadań i celów, zająć może nową postawę ducha, wydobyć z siebie nowe siły, utajone i nieużyte.

Tak też — nowi ludzie, powołani do działania przez nowe potrzeby czasów.

Znamieniem czasów nadchodzących, znakiem, pod którym będzie się rozwijało życie pokolenia, nakazem kategorycznym i potrzebą palącą będzie — odbudowa. Przeto ci nade wszystko ludzie zdobędą zaufanie i posłuch, którzy zasłużą się w dziele odbudowy — inicjatywą, siłą charakteru, pracą i twórczością.

Odbudowa nie będzie jedynie pracą nad przywróceniem wszystkiego, co uległo zniszczeniu. Na miejsce spalonej rudery nie stawia się rudery nowej, lecz inną wznosi się budowlę. Przyjdą ludzie innych budowli, do tej inności uzdolnieni, powołani przez jej ducha i własnym duchem jej oddani.

Na nowych ludzi naród spojrzy wzrokiem o wiele pilniejszym, pomysł na rozzarowania, jakie w epoce minionej niosły mu głośnie obietnice. Nic tak nie wzmacnia przezorności i czujności, jak niebezpieczeństwa i cierpienia, niedawno przeżyte.

Przeto silniejsza, niż dawniej, być musi najpierwsza z zalet sil naczelných, kierowniczych: odpowiedzialność. Z niej — egzamin najważniejszy. Próba wartości każdego, kto podejmie zadanie publiczne. Trudny egzamin i nie byle jaka próba w czasach wzmożonych wymagań, niecierpliwych żądań i silniejszej kontroli publicznej.

Z ludzi zaś dnia wczorajszego niewiele będzie miało odwagę poddać się tej próbie. Stawić się na nią będą mogli ci jedynie, których legitymacja przeszłości nie wzbudzi sprzeciwów i zastrzeżeń w świetle dnia nowego.

POGOTOWIE

Nadejdzie chwila ostatniego wystrzału. Na jakimś polu bitwy padnie żołnierz, ofiara tej sekundy, która jeszcze należała do wojny. Rozpocznie się nowe życie, czasy inne, wylaniające się z przełomu.

Przyszłość już istnieje: w przeobrażeniach, jakie wskutek wojny odbyły się w naszej świadomości.

Kto nie przewycięzył w sobie człowieka wczorajszego, nie rozbudził gotowości do przyjęcia odmienionego jutra, zamieni się w widmo ginącej epoki.

Oto ankieta wojny:

Czyś uczynił rewizję swoich sądów dawnych? Jakże ostały się, a jakie uznałeś za opaczne?

Co przyniosła ci nauka wojny w ocenie człowieka i spraw zbiorowego życia?

Czym wzbogaciły cię dni cierpienia?

Coś porzucił bez żalu i co pragniesz zdobyć?

Jakie zerwałeś pęta wczoraj narzucone?

Kogo odtrącisz, a z kim się sprzymierzysz?

Z jakim zasobem sił moralnych staniesz wobec dnia dzisiejszego?

Co chcesz dać ludziom, społeczeństwu, narodowi, ludzkości?

Przy jakim warsztacie staniesz w latach wielkiej odbudowy?

Pogotowie twórcze czasów nadchodzących stanowią ludzie, którzy mogą powiedzieć: myśl nasza drga życiem, nasze oczy widzą i chcą widzieć wszystko w pełnym świetle praw-

dy; którzy czasu wojny odczuli głębiej grozę, piękno i powagę życia. Z własnego cierpienia wynieśli umiłowanie dobra i pokoju. Sumienie mówi im więcej, niż mówiło dawniej.

Bez żalu rozstali się z pozorem i złudą, z własną maską i z maskami innych. Poczynili zmiany w hierarchii wartości. Inną wielu rzeczom dają cenę. Pragną wznieść się na wysokość nowego zadania.

Odrzucili od siebie małość ludzką we wszelkiej postaci — cienie i zmory niedobrej przeszłości. Odгородzili się od ludzi płaskich i trywialnych. Sprzymierzili się z bratnimi duszami w wierze, porywie, entuzjazmie.

Wiedzą, co chcą dać innym. Jakie słowo, jaki czyn. Stałą karnie w szeregu lub przy sterach. W rolach właściwych, przygotowani do trudu podjętego.

Dziś rozproszeni, odnajdą się rychło. Skrzyknie ich samo życie, hasło i sprawa.

Ci oto uratują szlachetność pokolenia.

MÓWCY

Potrzebny będzie nowy poczet mówców.

Tłumy będą poddawały się sile żywego słowa, coraz silniejszego instrumentu walki społecznej.

Tam gdzie w sposób nagłący potrzebna jest opinia zbiorowości, zjawia się mówca, najszybciej kierujący ją ku decyzjom i czynom.

Nadchodzące czasy będą wymagały zdecydowanej postawy społeczeństwa wobec najdonioślejszych zagadnień wielkiej odbudowy. Pomogą tu mówcy podnosząc temperaturę uczuć zbiorowych.

Mówca poprzez wszystkie wieki odgrywał rolę wybitną w kształtowaniu się spraw społecznych, a największą w okresach przełomowych. W chwilach, kiedy waży się szale wielkich decyzji, tłumy przyjmują jego credo.

Mówca wyzwala w tłumie najsilniejsze instynkty i ożywia jego namiętność. Staje się niekiedy panem tłumy, a w pewnych warunkach osiąga pełnię władzy.

Żywe słowo może być klątwą lub błogosławieństwem epoki.

Kto stanie na trybunach? Jacy mówcy nad jakimi będą mieli przewagę? Jacy odniosą zwycięstwo?

Jeden schlebia tłumowi, drugi nie szczędzi mu słów prawdy. Jeden gra na instynktach najniższych, drugi wznosi tłum na wyższe szczeble moralne. Jeden wyzyskuje uprzedzenia i przesady, drugi zaszczerpie myśl wyzwolenczą i światłą. Jeden szerzy zamęt, drugi niesie pomoc w dziele społecznego ładu. Jeden ma na widoku interesy własne, inny oddany

jest sprawom ogółu. Jeden jest sługą wynajętym do mówienia, drugiego prowadzi na trybunę mus wewnętrzny i umiłowana idea.

Mówcę nieszlachetnego poznacie po grymasach i sztucznościach.

Mówcę szlachetnego — po gestach prawdy i szczerości.

Jeśli żywe słowo wznosiło się do wyżyn prawdziwego piękna, to tylko w ustach mówców szlachetnych.

Kogo ujrzymy na trybunach? Jakich ludzi, jakie charaktery, jakie umysły?

Troska o przyszłość domaga się czujności przy trybunach.

PISARZE

Pisarze powojenni będą mieli czytelników, których życie było w latach wojny nasilone wrażeniami o mocy niezwyklej. Przeżyli swoją „powieść” i swój „dramat”. Stwierdzili tę prawdę, że życie przekracza granicę najbujniejszej wyobraźni.

Niekiedy w splocie i biegu wydarzeń dostrzegli również kształt rzeczy artystycznej — w jej obrazie, konstrukcji i treści symbolicznej. Przychodziły na myśl utwory największych pisarzy. Oto — mówiliśmy — fakty godne pióra Sofoklesa, Dantego, Szekspira, Dostojewskiego. Oto — myśleliśmy kiedy indziej — wydarzenia, które swoją niezwykłością, grozą i barwnością przewyższyły ich pomysły. Rzec by można, że czytaliśmy księgę życia, której karty pisali tytani wyobraźni, jakich w literaturze nie było.

Wspominaliśmy również podania i legendy, w literaturze utrwalone, widząc w tym, co przeżywamy sami, kanwę dla jeszcze bogatszych i bardziej wymownych podań i legend w przyszłości.

Lata wojny pogłębiły naszą znajomość człowieka. Jak w kalejdoskopie przesunęła się przed nami wielka galeria typów ludzkich. Zetknęliśmy się z wszelkimi odmianami zła i dobra — od zbrodni najstraszliwszych do ewangelicznych natchnień serca i sumienia.

Poznaliśmy usposobienia, skłonności, odruchy, instynkty, namiętności, które w orgiach wojny z taką rysują się wyrazistością. Poznaliśmy człowieka z maską i bez maski. Przyjrzeliliśmy się jego strategii życiowej. Naukę charakterologii, jaką

tak obficie czerpaliśmy z literatury, niosło nam życie z hojnością bezprzykładną.

*

Nasza myśl o przyszłości i o przemianach, jakie musi, może lub powinien przynieść dzień jutrzejszy, bliski i najdalszy, krążyła wokół wszelkich idei społecznych — od reform doraźnych do wizyj utopijnych. Sięgaliśmy pamięcią do pisarzy różnych czasów, którzy chcieli zmienić porządek świata, a w marzeniach swoich widzieli ludzkość w dobrobycie i szczęściu: od Platona począwszy, poprzez Campanellę, Morusa, Fouriera, Saint Simona do Wellsa. Prześwietliliśmy myślą doświadczoną i coraz bardziej przenikliwą przydatność, żywotność, sens moralny sądów, horoskopów, przepowiedni politycznych, skarg i obietnic, z jakimi zwracają się do nas pisarze wszystkich czasów. I zestawiliśmy z ich głosami obraz życia, który rozwinął się przed naszymi oczami, własną przemawiając treścią.

W wypatrywaniu innego jutra, które mogłoby wynagrodzić lata niewymownych cierpień przez umocnienie norm moralnych, odradzały się nam postaci pisarzy, widzących w tych normach dobro największe, busołą sprawiedliwości — od Seneki do Tolstoja.

Patrzac na dzieło nietolerancji, rządzącej wojną, zwracaliśmy się myślą do tego szeregu mędrców, którzy, jak Erazm z Rotterdamu — w tolerancji upatrywali rękojmię spokojnego rozwoju społecznego życia.

Kontrast pomiędzy pięknem świata a nędzą życia naszego przywodziły nam na pamięć słowa św. Franciszka z Assyżu.

I tak w latach wojny kształciliśmy nasz sąd o pisarzach, o tym, w czym rzeczywistość ich wyobrażeń prześcignęła, co zdolali dojrzeć, odtworzyć i stworzyć, co już powiedzieli w radach, wskazaniach i zaklęciach.

Pisarze powojenni, którzy zwrócą się ze swoim słowem do czytelnika światłego, będą mieli do czynienia z sądem głębszym i wrażliwością silniejszą. Niech się do tego czytelnika nie zwracają ze słowem byle jakim. Będzie dobrze wazone.

Będzie odtrącone, jeśli popadnie w ton jakiegokolwiek szablonu lub fałszu, jeśli będzie słabe myślą i ubogie duchem.

Wyostrzył się nam wzrok i słuch, pogłębiła się wiedza o życiu na wszystkich nizinach i wyżynach. Mamy bogatszą wyobraźnię.

Pisarzy powojennych zobowiążą nowe, surowsze kryteria światłych czytelników, wielkimi doświadczeniami wojny wzbogaconych.

UCZENI

Nauka stworzyła cywilizację. Praca uczonego zapewnia i podsyca jej rozwój, darzy ludzkość coraz lepszymi środkami, które zwielokrotniają jej siły w nieustannym udogodnianiu życia, pełnego przeciwieństw i trudu.

Zdobycze nauki już osiągnięte mogłyby przeinaczyć bytowanie całego świata ludzkiego, gdyby uległy upowszechnieniu. Nauka stworzyła tę możliwość: naginając siły natury do potrzeb człowieka, tak zwiększyła ich przydatność i wydajność, że owocami cywilizacji obdarzyć by można cały rodzaj ludzki, zapewniając każdemu dobrobyt. Skoro zaś taka możliwość istnieje, zbyt jest przez większość ludzi upragniona, by prędzej czy później nie stała się rzeczywistością. Zbliżają tę rzeczywistość, tę nową erę, czasy przelomowe, kształcące świadomość społeczną w tempie przyspieszonym.

Nauka w epoce naszej stanie się motorem przeobrażeń, których głębi i rozległości nie da się przewidzieć. Należy człowiekowi nauki ułatwić jego zadanie przez pomoc społeczną i opiekę państwa. Niech ma ciszę i spokój. Niech mu błogosławi duch Archimedes, który gdy kreślił na piasku swoje figury geometryczne, nie wiedział, że Syrakuzy już zajęte. Dla dobra powszechności niech uczonemu nie przeszkadza żaden jej rosgardiasz, nie przeszkadza w skupieniu, w oddaniu się myśli poszukującej, w natchnieniu odkrywczym.

Młodzieży, która chce poświęcić się nauce, okażmy zachętę największą, pomni na młodego Faradaya, który zabawał się drucikami w warsztacie swego ojca, kowala, a którego

myśl odkrywczą — poprzez Maxwella i Hertza — zmieniła rozwój cywilizacji świata.

Nauka wymaga życzliwej atmosfery, do wyjątków bowiem należą uczeni, którzy, jak Curie-Skłodowska, potrafią siłą swego entuzjazmu, potęgą woli i wiarą cudotwórczą przezwyciężyć wszystkie przeszkody, piętrzące się wokół jednostek przerażających swą współczesność.

Pomoc niesiona uczonemu wynagradzana jest stokrotnie. Żalną sumkę otrzymał dla swych doświadczeń Pasteur, który gdy wyleczył chore jedwabniki, wzbogacił majątek narodowy Francji.

Nauka po wojnie będzie jednym z największych źródeł twórczego nowatorstwa. Pokolenie nowe nie będzie dążyło do takiego nawrotu, który mógłby odbudować również zło przeszłości. Odmieniające się życie znajdzie w nauce siłę pobudzającą, istotą bowiem myśli naukowej jest nieprzerwane dążenie ku wciąż nowym zdobyciom, ambicją zaś nauki jest najszybsze zastosowanie tych zdobyczy w życiu ludzkim.

Wszelako świat nauki nie ogranicza się do sfery rzeczy, których wartość da się określić miarą materialnego pożytku społecznego. Ludzkość i ziemia to nie wszystko. Myśl ludzka sięga dalej, krąży w bezkresach wszechświata i w zadumie nad tajemnicami bytu stawia sobie pytania najśmielsze. Jeśli życie świata ma być szlachetniejsze, niech nadal pracuje myśl filozoficzna, chociaż na cenę produktów spożywczych nie wpływa.

W czasach nowych, twórczością bogatszych, większą siłę działania zdobędzie nie tylko człowiek nauki, tworzącej cywilizację i reformującej życie, ale i myśliciel, bogacący świat ducha.

Interesom materii i sprawom ducha będzie służyło hasło: uczonym — miejsce należne!

ARTYŚCI

Dobro życia wymaga piękna, które tworzy nie tylko natura, lecz i sam człowiek. Nie ma plemienia, które by o tym nie świadczyło. Im wyżej na szczyblach kultury, tym bujniejszą rolę gra sztuka.

W dziele sztuki artysta wyraża swe widzenie i odczuwanie świata. Utrwala zjawisko i wizję. Otwiera oczy niezmierzonych obszarów piękna niewidzące. Obdarza wzruszeniami. Niesie rewelacje życia w artystycznej prawdzie. Karmi naszą wyobraźnię, czyni nas większymi w pojemności ducha.

W doznaniach artystycznych — w westchnieniach i uśmiechach, w zachwycie i olśnieniu — tworzymy sferę uczuć, wznoszących nas ponad przyziemność.

Sztuka jest tym dobrodziejstwem i błogosławieństwem, które przewycięża tyranię materii. Przez sztukę poddajemy się działaniu nieuchwytnych, a jakże silnych wpływów, które stanowią przeciwwagę klimatu powszedniego.

Im życie dalsze od sztuki, tym pospolitsze i bardziej trywialne. Jeśli na jakiejś polaci kraju nie znajdziemy ani jednej rzeźby czy obrazu, jeśli nie usłyszymy dzieła muzyki pięknej, wiemy już, że panuje tu niepodzielnie nędza i wegetacja.

Inni są ludzie, obcujący ze sztuką, a inni — od niej dalecy. Inne też społeczeństwo, otaczające świat sztuki należną opieką, a inne to, które mrozi go obojętnością.

Bogacenie się sztuki wymaga usunięcia tych tam i hamulców, jakie zabijają twórczość, a sprzyjają szablonowi. Gdzie wszelkie nowatorstwo budzi sprzeciw, protest, przerażenie, tam

nie ma umiłowania sztuki, tam też głos artysty staje się głosem wołającego na puszczy.

W epoce powojennej, w latach przyływu energii twórczej, podczas wojny zahamowanej, artysta odegra rolę tym większą, im bujniej i swobodniej będzie się rozwijało nasze życie.

Praca artysty będzie z epoką odbudowy związana organicznie.

Walka z ciemnotą i nędzą powiększy zasięg sztuki, która zjawi się tam, gdzie nie promieniowała nigdy, nie znosi bowiem mroków, lgnie do światła.

Wzrośnie szacunek dla artysty, dla sztuki, przez którą najsilniej spływa na ludzi emanacja boskości. Dlatego papież podniósł pędzel, który wypadł z ręki Rafaela.

URZĘDNICY

Przy biurkach urzędniczych zasiadają ludzie rozmaici. Widzimy tam nieraz typy ponure, oschłe, opryskliwe, wyniosłe. Widzimy automaty ludzkie i maszyny biurokratyczne. Prawdziwa to plaga życia państwowego, dręczyciele obywatela, osłabiający więź moralną pomiędzy państwem a społeczeństwem.

Więź tę wzmacnia urzędnik pogodny, cierpliwy i wyrozumiały, z ochotą spełniający uprawnione żądania obywatela. Ten, który wie i pamięta, że pełni służbę publiczną... Służbę. Oto słowo właściwe, określające rolę urzędnika.

Urzędnika obowiązują ustawa i przepis. Lecz jakże wielka może być różnica pomiędzy urzędnikami, którzy jednakowo trzymają się litery prawa, lecz różnie odnoszą się do obywatela. Nie ma ustaw i przepisów, przewidujących wszelkie okoliczności rzeczy, której dotyczą. Urzędnik, widzący tylko ustawę, a niewidzący człowieka, jest jego nieprzyjacielem.

Leży oto na biurku urzędnika stos akt. Jeśli urzędnik nie ma wyobraźni, widzi tylko papiery i papierki, nie słyszy głosów ludzi z niepokojem i niecierpliwością czekających na załatwienie ich sprawy. Urzędnikowi obdarzonemu wyobraźnią i sumieniem głosy te nie dadzą spokoju.

Od rozumu urzędników zależy, by nie dopuścić do przerostu biurokratyzmu, w pewnych tylko granicach niezbędnego. Przerost ten godzi dotkliwie w interes obywatela, przysparza mu troski i odbiera drogocenny czas.

Od społecznego wychowania urzędników zależy, by w urzędach nie utożsamiano powagi z pychą, sumienności z pedanterią, energii z despotyzmem.

Lamanie zasady: właściwy człowiek na właściwym stanowisku, wyrządza nieobliczalne szkody społeczeństwu. Doświadczenia przeszłości nakazują nam najdalej posuniętą czujność w doborze urzędników. Nie tylko na stanowiskach naczelnych, lecz na wszystkich szczeblach urzędniczej hierarchii. W wielu bowiem sprawach szczebel niższy, z którym obywatele stykają się najczęściej, odgrywa rolę decydującą.

♥ Naprawa życia zbiorowego domaga się odmiany w dziedzinie służby publicznej. Głębokiej odmiany i wielkiej rewizji moralnych, umysłowych i społecznych kwalifikacji urzędnika. Zarazem — zmiany jego warunków materialnych. Nie leży w interesie społeczeństwa, by świat urzędniczy stanowił armię biedoty.

Dobry urzędnik, wynagradzany należycie, jeden to z podstawowych warunków społecznej rzetelności.

WYOBRAŹNIA

Wielu słowom naszym nie towarzyszy obraz rzeczy, które słowa te mają określać.

Oto powiadamy: ludzkość. Co widzimy wymawiając to słowo? Jeśli nie jest pustym dźwiękiem, otwiera tak wielkie obszary życia, że nie mieszczą się w granicach naszej wyobraźni.

Ludzkość... Szczepy, plemiona, ludy i narody—podzielone na kolory, języki, narzecza, obyczaje, szczeble cywilizacyjne. Niezliczone odmiany gatunku ludzkiego, różne w wyobrażeniach, upodobaniach i tablicach przykazań. W niepodobnych warunkach, klimatach, florach i faunach, inne więc w urządzeniach, w sposobach walki o byt, w zamiarach i planach. Ogromne, żywe muzeum, mówiące o przeszłości, która żyje — w sądach, instynktach, namiętnościach, tradycjach, atawizmach. A w każdej zbiorowości — własne wieże Babel, cienie i światła, zbrodnie i dobrodziejstwa. I bezmiar cierpień, kojonych narkotykami radości, zapomnienia.

Przymknijmy oczy i powiedzmy słowo: ludzkość. Niewiele widzimy, mimo tylu wieści, idących ze wszystkich stron świata, mimo wszystko, co nam mówi archeolog, historyk, geograf, etnograf, podróżnik i dziennikarz. Jakże dużo trzeba wiedzieć o ludzkości, by to słowo mogło nabrznieć treścią, odpowiadającą rzeczywistości, choćby w pewnej mierze.

Kiedy mówimy: niebo gwiazdziste, widzimy niebo i gwiazdy, nie patrząc na nie, bośmy je tyle razy oglądali. Ludzkości nie widzieliśmy nigdy, a to co o niej wiemy, by wytworzyć obraz do prawdziwego zbliżony, wymaga pamięci i wyobraźni. Zazwyczaj uboga, nie łączy nas silnie ze światem.

W domu, gdzie mieszkamy, popełniono zbrodnię. Jakże jesteśmy poruszeni, choć nie znaleźliśmy ofiary. Jeśli popełniono zbrodnię o trzy domy dalej, już nas mniej wzruszyła. Zabójstwo, którego jesteśmy świadkami, jest dla nas czymś bardziej wstrząsającym niż wiadomość z dalekiego kraju o tysiącach zabitych w katastrofie żywiołowej czy na polu bitwy.

Tak silnie serce nasze żyje naszymi oczami i tak słabo — naszą wyobraźnią.

Mówimy słowa: głód, chłód, nędza... Jeśli sami takich udręk nie przeżywali lub często i z bliska nie przyglądali się niedoli ludzkiej, choćbyśmy o niej wiedzieli jak najwięcej, nie rysuje nam się w całej swojej grozie.

Przechodzimy obok szpitala. Jeśli los oszczędził nam i naszym najbliższym cierpienie fizycznych człowieka chorego, jeżeli zmożeni chorobą nie leżeliśmy w szpitalu pośród innych, również cierpiących, słowa: ból, męka, bezradność, beznadziejność — nie mają dla nas całej swej wymowy, słowo szpital nie ścisza nam serca.

Krzywda, niesprawiedliwość, ucisk — dopóki to tylko wiadomość o życiu, tylko słowa, nie zadają bólu naszemu sumieniu.

Uboga wyobraźnia chroni nas od niepokoju moralnego, a w tym nade wszystko niepokoju — szlachetność człowieka.

Kto dużo widział i przecierpiał, jeśli mu nie skamieniało serce, nosi w sobie nieuspione, zawsze żywe współczucie dla ludzi. Widzi cierpiących i pamięta o tym, co się dzieje w świecie. Że w każdej chwili naszego życia gdzieś bliżej, dalej lub najdalej staje się coś, co woła o pomstę do nieba. W każdej chwili — jakieś zło straszliwe. W każdej chwili — lzy niepolicone i niezasłużony ból.

Dla naprawy życia trzeba nie widzącym — pokazywać, nie pamiętającym — przypominać.

Nie dbajmy o swój błogostan zanadto. Nie oszczędzajmy naszej wyobraźni. Patrzmy na wszystkie kręgi piekielne życia ludzkiego szeroko otwartymi oczami.

Kogóż lata wojny nie nauczyły tej prawdy: że nie masz odgrodenia się od potworności świata. Przychodzą, docierają wszędzie i wymierzają w nas swoje bezlitosne ciosy.

Gdyby samo zło panowało na świecie, słuszną byłaby tylko klątwa na ten świat rzucona. Gdyby nie było dobra między ludźmi, wszystko wołało by w człowieku, by uchodził od nich jak najdalej, i wówczas mogło by być słuszne hamowanie wyobraźni, by nie sięgała w sferę wszechwładnego zła. Po cóż by o nim pamiętać, gdyby nie dało się w swej potęgze naruszyć, gdyby taki był sens życia rodzaju ludzkiego!

Wyobraźnia — źródło, istota współczucia — ogarniając jak najszersze kręgi życia, karmi nam serce w imię zwiększenia zasobów dobra i szczęśliwości człowieka na ziemi.

Wyobraźnia utrwała nas i do wielkiej doprowadza siły w proteście przeciw cierpieniu i krzywdzie.

Wyobraźnia kieruje nas na drogę czynu, kiedy w niepokoju i gniewie sumienia stajemy do walki ze złem, gotowi na wszelką ofiarę.

Niech będzie błogosławiona wyobraźnia dobrego człowieka.

DLA JUTRZEJSZEGO CZYTELNIKA

Publicyści polscy w kraju pozostali pragnęliby, ażeby to, co dzisiaj piszą potajemnie, zachowało swą przydatność po skończonej wojnie.

Wszystko sprzęga nas z jutrem, które stało się naszą racją bytu. Każdą myślą naszą jesteśmy złączeni z tym, co będzie. Tak zespoleni z przyszłością, wpatrujemy się we wszystko, w czym widzieć można zapowiedź, nadchodzenie, znak jutra. Ono jest całą wartością naszego życia, które dziś zamieniło się w oczekiwanie, w mękę, kojoną przez nadzieję, przez pewność, że sens naszego życia będzie nam kiedyś przywrócony. Że Niemcy poniosą klęskę. Że Polska będzie niepodległa. Że człowieczeństwo zwycięży.

Być może, z czasów straszliwych wyniesiemy korzyść: dodamy wagi słowu publicznemu. Słowa nasze nie będą już tak wiotkie, jak bywały dawniej; nie będziemy ślizgali się po powierzchni zjawisk, już przeinaczeni przez dni głębszych przemysłów. Nie będziemy tylko sługami chwili, lecz w naszym słowie aktualnym zadźwięczy słowo wieczne. Słowo o wartościach życia nieprzemijających, podstawowych.

Nadużywaliśmy nieraz słów takich, jak przełom dziejowy, nowa epoka, nowa era. Lecz oto stanęliśmy istotnie na przełomie dwóch epok, które wyraźnie będą rozdzielone przez historyczne rozstrzygnięcia. To teraz właśnie odbywa się przemiana na skalę dziejową, wykreślająca nowe linie wytyczne szeregowi pokoleń. Sądzone nam żyć w czasach równie wielkich, jak straszliwych. By móc tę wielkość wymierzyć, cofamy się myślą w przeszłość, zestawiamy dobę obecną z wydarzeniami, które również

na dziesiątki i setki lat zmieniały polityczną i społeczną rzeczywistość świata. Przesuwają się przed nami obrazy wojen, rewolucyj, przewrotów, czasy niszczycielstwa i czasy odbudowy. Przychodzą na pamięć wszystkie linie łamane historii, cofnięcia się i dźwignia, upadki i wzloty. I patrzymy w rodzące się jutro, w obraz wielkiej Odmiany.

Gdyby nie wiara, gdyby nie nadzieja, stracilibyśmy resztę sił uratowanych. Pozostałoby nam już tylko upieranie się przy życiu — bez sensu i celu. Chcemy też przyszłemu czytelnikowi zaświadczyć, jak czasu wojny potężną dźwignią moralną była wiara, jak poranione dusze leczyła nadzieja. Kto by nie brał pod uwagę działania tych potęg moralnych, nie mógłby zrozumieć, jak tu przeżyliśmy okupacyjne piekło.

Wiara jest nie tylko osłodą złego życia, lecz zmienia je, kiedy może wyrazić się w sile czynu. Nadzieja nie jest tylko urojeniem bierności, lecz wieczną podniętą w przewyżnianiu przeszkód leżących na drodze do upragnionego celu. Notujemy przejawy tych sił zbawiennych i błogosławionych — ku pożytkowi przyszłości, która również bez wiary i nadziei nic by wielkiego zbudować nie mogła.

Jeśli pragnienia nasze graniczą z marzeniem, niech będzie wiadomo, o czym czasu wojny marzyli publicyści polscy. Oddajemy się marzeniom o przyszłości. Uderzamy w ton utopii pamiętając, że to, co dziś wydaje się utopią, jutro może się stać rzeczywistością. Błogosławi nam duch Campanelli, który w lochu więziennym pisał swoje „Państwo Słońca“. Czasy ostatnie zachęcają do snucia przewidywań najśmielszych. Zło doprowadzone do swego krańca, ustępuje dobru, które również może być niespodziewanie wielkie.

Rewidujemy dzień wczorajszy. Zło, by trwać i działać, wymaga maski i nieprawdy. Ujrzane z bliska, zdemaskowane, pozbawione instrumentów kłamstwa, słabnie i ginie.

Już podczas wojny odbywa się sąd powszechności nad politycznym i społecznym przestępstwem. Nie tylko sąd nad Niemcami, lecz nad wszystkim, co im przed wojną sprzyjało.

Nie wróci zło dnia wczorajszego. Jakiegokolwiek będzie jutro, będzie inne. Przygotowujemy się wewnątrznie do zmian najdalej idących.

Nade wszystko surowe wymagania postawimy placówkom kierowniczym, przywracając do praw człowieka uczciwego i odpowiedzialnego, który nie będzie się obawiał pracy w pełnym świetle nowych czasów. Dodamy siły trybunałowi opinii publicznej. Rozbudzimy czujność obywatelską, tak długo usypianą.

Już dziś myślą przywołujemy nowych ludzi, którzy uporządkują i odbudują nasze życie zbiorowe. Nowych — w gatunku moralnym, w horyzoncie myśli, rzetelności słowa i powadze czynu.

Wszystko co należy do mafii, koterii, spekulacji, wszystkie żywyły nieczne i spodłale muszą być zniszczone bez litości, by nie mogły już nigdy sprowadzić bezlitosnych czasów. Cnocie — obrona, niecnocie — zagłada!

Przestrzegać będziemy przed człowiekiem nijakim, by nie osłabiał dynamiki wielkiej odbudowy, nie paraliżował rozpędu społecznego życia, nie zabierał miejsca ludziom charakteru, woli i decyzji.

Dla wyznaczenia nowym ludziom ról właściwych potrzebna będzie pomoc prasy, najsilniejszego instrumentu kontroli publicznej. Klimat moralny przyszłości będzie zależał w wysokim stopniu od postawy dziennikarza i publicysty.

Jakże wielkie zadania przypadną nam w udziale! Czekamy na ten trud niecierpliwie. Przyjdzie czas sprawiedliwości i pokoju. Sumienie i rozum dojść muszą do głosu. Zbrodnia będzie pokonana. Świat nie oszalał ostatecznie.

SŁOWO NAUKI

Słowo idące ze świata nauki obarczone jest również grzechami fałszu. Uczony, który szedł na służbę, odbierającą mu wolność i sumienie, wspierał pozorami myśli naukowej systemu wyzysku i przemocy, uczony taki był hańbą cywilizacji, obrażał godność nauki, wypaczał jej ducha i niszczył jej prawdziwe cele. Jak daleko posunąć się można na tej drodze hańby, tego dowiódł uczony niemiecki.

Stąd również, z bezecności tego fałszerza i zdrajcy, szedł zaduch moralny.

Jest zadaniem nauki ułatwiać człowiekowi walkę o byt i pomniejszać sumę cierpień ludzkich. Spełniał to zadanie mnogi zastęp duchów jasnych i szlachetnych, bohaterskich i twórczych. Osiągał zwycięstwa wiekopomne, wyznaczał cywilizacji nowe drogi, niósł rodzajowi ludzkiemu w swych natchnieniach odkrywczych większe zmiany i przełomy niż największe bitwy w dziejach wojen.

Jest zadaniem nauki zbliżenie się ku zrozumieniu wszystkiego, co umysł ludzki zrozumieć potrafi. Wiemy niewiele, lecz więcej niż nasi przodkowie. Nauka ostrzy wzrok człowieka, coraz lepiej patrzącego na świat. Z nieustannej pracy badawczej rodzą się skutki nieoczekiwane: nagle snopy światła, rzucone na zaslonę tajemnicy i zarazem ukazujące tajemnice nowe. Myśl naukowa nie zna więc wytchnienia, nie zna granic swojego wysiłku. Jej przeznaczeniem — pochód niepowstrzymany, wieczysty. Kto miłuje spoczynek myśli, obcy jest nauce.

Jest zadaniem nauki prostowanie błędów i urojeń przez wymowę doświadczenia. Uczony szuka dowodu prawdy, ustalając

niezawodność skutku określonej przyczyny. W sferze nauki nie masz swawoli i zmyślenia. Prawem jej — rzetelność wyводу i odpowiedzialność sądu.

Nadejdą czasy, kiedy słowo nauki odzyska swą nieskazitelną. Z myśli poważnej płynące, czyste i wolne, będzie zataczało coraz szersze kręgi, bogacąc i upowszechniając zasoby rozumu. Będzie wieścią pobudzającą do nowych zamiarów w ulepszaniu życia, sygnałem nowej pracy i twórczości. Ukaże perspektywę dobra powszechnego, które podsycą dążenia nasze ku większej szczęśliwości ludzi.

Takie jest dobrodziejstwo słowa nauki.

SŁOWO POETYCKIE

Wszystkie czary poezji zajaśnią na nowo, kiedy zmęczone i zakrwawione pokolenie nabierze sił do nowego życia. Słowo poetyckie rozlegnie się, jak dobra nowina o pięknie tego świata, na które rodzaj ludzki nie zasługiwał w brzydocie swego bytowania.

Dni nasze ukazały największe przeciwieństwo pomiędzy cudownościami nieba i ziemi a życiem bez poezji, która była tylko mirażem na dalekich horyzontach migocącym.

Duch poezji nie miał przystępu tam, gdzie człowiek skazany był na dożywotnią przyziemność, ugięty pod brzemieniem swej niedoli i miazdzącej go troski codziennej.

Nie mogło być poezji w życiu bezecnym i brutalnym.

Nie mogło jej być w świecie pełnym rzeczy sztucznych i skłamanych.

Nie mogło jej być tam, gdzie wszystko się kupuje, nie posiada się niczego, co nie jest do nabycia.

Słowo poetyckie rozlegało się na marginesie życia jednostek nielicznych, obce zbiorowości ludzkiej. Przetworzona, inna, mniej umęczona, lepsza, przyjmie ten pokarm.

Lecz poezja sama ulegnie przemianie. Zbliży się do życia, które będzie jej godniejsze, jak uciekała od życia, które nie było jej godne.

Poezja będzie współtwórczynią przebudowy piękniejszego świata.

SŁOWO PRZYSZŁOŚCI

Doświadczenia dni naszych obudzą czujność pokolenia. Słowo publiczne będzie słuchane inaczej niż w przeszłości.

Człowiek, przez słowo publiczne oszukany, będzie ostrożniejszy. Zbyt wielkim cierpieniem opłacił swoją łatwowierność. Zawierzył słowom, które prowadziły go ku zgubie. Człowiek frazesu był mu nauczycielem, zaperzony krzykacz — apostołem, demagog — prorokiem. Zwolnił się z trudu myślenia, ufając swoim dostawcom pewników. Kupował je za grosze i czuł się wzbogacony drogocenną prawdą.

Żerowanie na ludzkiej naiwności przekroczyło granice przytomnej rachuby. Kłamstwo zdemaskowało się w swym nie-nasyceniu. Jak gaz trujący przeniknęło przez wszystkie szczeliny, niszcząc klimat moralny. Miało na swoje usługi pisarzy i uczonych, pedagogów i kapłanów, polityków i mężów stanu. Nad całymi pokoleniami zawisła mgła słowa kłamiącego, które trzymało w okowach myśl społeczną upośledzonych mas ludowych. W czadzie tego słowa oddychała niezdrowa myśl publiczna, mnożąc i zaciskając wszystkie węzły gordyjskie, które teraz rozcina miecz wojenny.

Życie nie udźwignęło nadmiaru nieprawdy gromadzonej przez możnych tego świata. Życie samo domaga się sądu nad mącicielami myśli społecznej, naprawy całego gmachu cywilizacji, w którym zarysowały się mury, odnowy, najszersze obejmującej kręgi.

Domaga się też innego słowa publicznego.

Chcesz mówić do ludzi? Trudne będziesz miał zadanie. Słowo twoje ma być egzaminem publicznym z twego stosunku do

spraw zbiorowego życia. Wyznaczyłeś sobie rolę pełną wagi moralnej: w rzędzie tych, którzy torują światu nowe drogi. Jaką odbyłeś pracę ducha, by się uzdolnić do tej roli? Jaką zdobyłeś wiedzę życia, by przemawiać do niewiedzących? Z jakim zasobem światła chcesz rozpraszać mroki? Te pytania postawi ci człowiek rozczarowany przez słowa, które przynosiły mu klęskę.

Chcesz mówić do ludzi? Co im chcesz powiedzieć? W czym umocnić, od czego oddalić? Jakie dobro zwiększyć i jakie zło pomniejszyć? Czy umiesz człowiekowi powiedzieć, jak ma żyć, by i jemu i z nim było lepiej na świecie?

Chcesz mówić do ludzi? Strzeż się, byś nie podzielił losu tych, którzy przegrali fałszywą grę publicznego słowa, zniknęli z widowni i zapadli się w zasłużoną nicość. Będzie cię słuchał i sądził człowiek, który większe niż ongi postawi wymagania tym, co pouczają społeczeństwo. Nie uśpiś jego czujności, bowiem poznał już truciznę słowa. Nie przyjmie słowa byle jakiego, żyje bowiem w czasach, kiedy potrzebna mu jest pomoc rzetelna, najistotniejsza, w trudzie i mozołe Odbudowy.

Chcesz mówić do ludzi? Waż twoje słowo, by twe rady i wskazania, sądy i wyroki, klątwy i błogosławieństwa, wytrzymały próbę wielkich czasów.

DWIE POSTAWY

— Jakże silnym węzłem łączącym człowieka z życiem jest drugi człowiek!

— Tak, to węzeł bardzo silny, lecz można się zeń wyzwolić.

— W imię czego?

— W imię węzłów innych, w imię innego życia, nie tego, które się narzuca. Nie znajduję w ludziach wartości niezastąpionych. Życie jest nieskończenie bogate — poza światem ludzkim. Nie apoteozujemy konieczności, które trzymają nas w międzyludzkich łańcuchach.

— Nie apoteozuję, lecz stwierdzam, że wszyscy stwarzamy te, jak powiadasz, łańcuchy, bo są nam niezbędne.

— To prawda. Stwarzamy je i zaciskamy tym mocniej, im bardziej oddalamy się od siebie. Czy nie uważasz, że lgnięcie do ludzi to strach przed samotnością, która u tak wielu równa się pustce.

— Na pewno. Boimy się samotności, może być zabójcza.

— Dobrze powiedziałeś: może być. Lecz jeśli samotność nie oznacza pustki, przestaje być męką.

— Tak, lecz więź nasza z ludźmi polega nie tylko na zwalczaniu widma pustki. Odbywa się między ludźmi nieustająca wymiana jakichś wartości. Rozumiesz, że nie mam na myśli świata interesów i wszelkich konieczności życiowych, o których w tej chwili nie mówimy. Wymiana wartości moralnych i duchowych. Rozmawiam z tobą, jesteś mi potrzebny, rozmowa sprawia mi przyjemność, układam lepiej moją myśl, staje się jaśniejsza. I ja też wnoszę coś do naszej rozmowy, a jeśli tak, to i tobie na coś

się przydają, chociaż nie ma w tobie pustki. Oto jedna z wielu więzi.

— Obydwa jednak osiągnęliśmy ten stopień samowiedzy, ten zasób treści wewnętrznej, jaki pozwala rozmawiać samemu z sobą. Rozmowa z innymi może być łatwiejsza, lecz w najlepszym razie jest to tylko ułatwienie, nie zaś wartość istotna.

— Jeśli tylko ułatwienie, gdzież powód, by tego unikać?

— W tym, że zbliża nas do ludzi, a mam sto powodów, by trzymać się od nich daleko.

— Czerpiesz od nich wiedzę o życiu, sam jej przecież nie ogarniesz.

— Nie ogarnę. Nie mogąc więc obyć się bez książki, nie pragnę jednak poznać jej autora. Obcuje z dziełem człowieka, nie odczuwam potrzeby obcowania z nim samym. Lubię myśl, nie myśliciela, obraz, nie malarza. A skoro nie tęskno mi do ludzi twórczych, cóż mówić o pospolitych!

— Mogą być niepospolici nie tylko w twórczości.

— Wiem. Te wyjątki nie mogą zmienić mojej postawy wobec rodzaju ludzkiego, a o tym przecież rozmawiamy. Kto jest stworzony na wiecznego wędrowcę, niech wciąż szuka człowieka godnego tej nazwy. Rola takiego wędrowca zgoła mi nie odpowiada. Ocierać się nieustannie o wszelkie typy ludzkie na to, by raz czy dwa razy w życiu ze wzruszeniem ucisnąć dłoń człowieka — nie, nie pociąga mnie ta dysproporcja.

— Może nie tak rzadko...

— Zawsze rażąca dysproporcja. Dość zestawić wszystkie nasze rozczarowania z tym, co nam zawodu nie przyniosło. Ludzie nie chcą pamiętać o tym niemiłym rachunku, jak zresztą o każdej nieprzyjemnej prawdzie. By kochać ludzkość, na to potrzeba całych już systemów urojeń, szczególnie silnych narkotyków, które osłabiają pamięć, niszczą poczucie rzeczywistości i przenoszą nas w sferę mirażu. Nie narkotyzuję się. Widzę i pamiętam. Dlatego do najwspanialszych idei zaliczam ideę klasztoru, choć i ta uległa wypaczeniu. Lecz sama idea — jakże piękna! Czy na nic nie zasługują ci, którzy dorosli do samotności?

— Ależ tak, niech ją ma, kto jej spragniony. Lecz nie wierzę w bogactwo trwałej samotności.

— O jakim mówisz bogactwie?

— O pełni życia wewnętrznego. Samotność, oddalenie się od ludzi, jeśli ma tę pełnię zachować, może być tylko pomostem ciszy i skupienia, po którym wraca się do ludzi. Takie też było życie wielkich samotników. Odchodzili i wracali. Odchodzili po to, by wrócić z nową siłą i zdobyczą ducha. Samotność, która na zawsze pożegnała ludzi, bliższa jest cmentarza niż życia. Nie, nie wierzę w duchową samowystarczalność człowieka.

— Jeśli ją ktoś kształci w sobie długie lata, może dać sobie radę ze sobą.

— Może — w wegetacji, która nas pomniejsza, w ciszy, która nie ma wymowy, w spokoju, zacierającym wszystkie blaski życia.

— Takeś się zapatrzył na ludzi, jakbyś nie widział niezmierzonych obszarów życia poza nimi. Można sprzymierzyć się z naturą i jej niewyczerpanym pokarmem nasycać swą żywotność.

— Widzę, że chcesz należeć do tych, którzy nawoływali do zerwania z cywilizacją. Gdzie szukasz swojej wyspy?

— Nie nawołuję do niczego, świadczyło by to o spójni z ludźmi, z której się wyzwałam. I tak już mają wieczny nadmiar tych nawołujących. Również nie zaliczam się do tych, którzy zrywają z cywilizacją, szukając ukojenia na krańcach świata, a niekiedy nawet w swych upodobaniach chcą się zrównać z dzikusami. Mam zresztą dla nich sympatię, rozumiem ten wybór: pomiędzy naszą cywilizacją a życiem plemion pierwotnych. Nie wiadomo, czy w ostatecznym rachunku, w najistotniejszej ocenie... Lecz nie poruszamy tego tematu, starego, jak cywilizacja sama. Już Heraklit, nieznoszący ludzi, opuścił Ateny i zamieszkał w lesie, gdzie bawił się z dziećmi szyszkami. Kiedy w chwili ciężkiej dla miasta delegacja obywateli ateńskich przybyła doń z prośbą o radę, rzekł: „Owszem, dam wam radę, proszę was, żebyście się wszyscy jak najprędzej powiesili“. Nie podzielałam tej nienawiści czy wzdardy, ale podoba mi się odejście Heraklita i jego zabawa z dziećmi... A moja wyspa? Może być wszędzie, byleby nie w tłoku.

— Gdybym nie unikał pospolitej terminologii, powiedziałbym, że to krańcowy indywidualizm tchnący wyniosłością.

— Ach, ta terminologia! Dobrze, że się przed nią zastrzegasz. Możemy chyba w naszej rozmowie obyć się bez tych nieśmiertelnych szyldów i szyldzików, które sobie ludzie rozdają, żeby im łatwiej było oceniać się i kwalifikować wzajemnie. Wyniosłość jest zawsze niemądra. Nie chcę tłoku nie dlatego, że bym nim gardził, lecz że go nie lubię. Innym jest potrzebny, niechże go kochają. Mnie jest w nim duszno.

— Nie każdy zespół ludzki można nazwać tłokiem. Powiedziałem, że to, co mówisz, tchnie pewną wyniosłością, bo skoro chcesz żyć ponad wszelkim „tłokiem“...

— Nie ponad, lecz poza nim, z daleka. Nie każdy, powiadasz, zespół zasługuje na to określenie? W tym tkwi właśnie jakaś kłątwa, że im więcej zgromadzi się ludzi niezwykłych, tym bardziej owo zgromadzenie oddala się od niezwykłości.

— Może mieć jednak znaczenie dodatnie lub doniosłe. Może przynieść jakąś dobrą decyzję, jakąś zmianę na lepsze.

— Nie mówię, że to, czego nie lubię, nie jest społeczeństwu niezbędne. Mówię, że w tych wszystkich społecznych niezbędnościach, potrzebach, walkach, nie chcę się pogryźć. Sieć, którą społeczeństwo oplata jednostkę, staje się coraz gęstsza. Niech i tak będzie, skoro tak być musi. Nic jednak nie może mnie zniewolić, bym we wszystkim, co mi ludzie narzucają, tkwił cały moją myślą, uczuciem, duszą. Nie chcę tego. Ludzie to nie wszystko. Nie jestem tylko częścią społeczeństwa. Poczucie kosmiczne daje mi dystans pomiędzy moim życiem wewnętrznym a wszelką zbiorowością.

— Nie sądzisz chyba, żeby ci, którzy oddają się sprawom społecznym, pozbawieni byli poczucia kosmicznego. Jedno nie wyłącza drugiego.

— Nie są pozbawieni, jeśli jeszcze nie zamienili się w termity i szarańczę. Jedno nie wyłącza drugiego, lecz jedno żyje kosztem drugiego. Pokaż mi ludzi, porwanych zgiełkiem i aktualnościami świata, którzy by zachowali całe napięcie tego, co nazywamy poczuciem kosmicznym, którzy by głęboko dbali o swoją myśl metafizyczną. Niszczy ją haszysz społeczny. Nie, nie jest filozofem, kto chce nim być pięć minut na rok i w ten spo-

sób oddaje ludziom, co ludzkie, a kosmosowi, co należy do nieskończoności.

— Tak, oddajemy ludziom, co ludzkie. Oddajemy sobie samym, tego wymaga życie, walka o byt we wszelkich jej postaciach i poziomach. Wartość życia mierzymy nade wszystko skalą rzeczy ziemskich. W tej skali — nasza aktywność, poza nią — tylko kontemplacja. Człowiek zmienia swoje życie na ziemi, nadaje mu różne kształty, wedle możliwości swej woli i wedle wyobrażeń zła i dobra. We wszechświecie człowiek nic nie zmienia. Wszystko tam — poza jego wolą. Nie powiadam, by nie myśleć o tym, na co żadnego wpływu człowiek mieć nie może, lecz mówię, że myśl nasza najżywotniej działa w kierunku rzeczy, dających się zmienić, przekształcić, czy wzbogacić. W tym — twórczość człowieka. Myśl sięgająca w bezkresy może uchylić rąbek jakiegś z tajemnic kosmosu, co tak wielkie zadowolenie daje ambicjom geniuszu ludzkiego. Lecz, powtarzam, nic nie zmieniamy we wszechświecie, a dużo, coraz więcej na ziemi. Dlatego, jak się wyraziłeś, ludzie są filozofami pięć minut na rok. Przyznaję, że tych minut za mało, lecz ta znów dysproporcja pomiędzy siłą poczucia kosmicznego, a energią twórczą, aktywnością i wydajnością ludzką stąd przecież płynie, z tej różnicy, że rzeczom ziemskim możemy narzucić naszą wolę a wszechświat mówi nam tylko o naszej nieskończonej słabości. W sprawach ziemskich człowiek może odczuwać uprawnioną dumę, wobec kosmosu — jedynie pokorę. Żyjemy dziełem człowieka dumnego.

— Czy nie odbiegliśmy od naszego tematu? Mówiliśmy o stosunku do ludzi.

— Nie odbieglem. Łączą się te sprawy jak najściślej. Nasza bowiem aktywność określa ten stosunek. Współpracujemy lub walczymy ze sobą. Łączymy się lub rozdzielamy. Mamy dążenia pokrewne lub sprzeczne. To właśnie ów zgiełk, którego nie lubisz. Wszystko pod znakiem jakichś potrzeb i zdobyczy, pragnień i dokonań. Gdzieś tylko na uboczu, jakby na marginesie życia, w chwilach niezbyt częstych — przerwy w aktywności, kontemplacja, zaduma...

— Nieocenione to chwile.

— Lecz rzadkie, jak wszystko, co drogocenne.

— Nie przeczysz, że drogocenne.

— Nie przeczę. Różnimy się jednak. Nie doceniasz wartości życia aktywnego z ludźmi, pośród ludzi i dla ludzi. Chcesz zwięzić swoje z nimi stosunki tylko do granic niezbędnych, które dają ci samą możliwość życia i możliwość rozmyślenia o życiu. Oslabiłeś swój instynkt społeczny.

— Niewątpliwie. I świadomie.

— W tym twój chłód dla ludzi. Nie wiem jak daleko umiałbyś posunąć się na tej drodze.

— Myślę, że daleko.

— Nie lubisz człowieka... Wybacz, że w naszej rozmowie pomogę sobie przykładem banalnym. Widzisz, jak człowiek tonie, a umiesz pływać. Czy go uratujesz?

— Uratuję. To tylko odruch.

— Ależ w odruchach cała tajemnica moralności świata. Jeszcze przykład. Przyszedł do ciebie człowiek slaniający się z głodu. Czy go nakarmisz?

— Nakarmię go i niech idzie dalej.

— Aleś go zatrzymał. Jego głód nie był ci obojętny. Dla innych nie są obojętne nie tylko cierpienia człowieka, który do nich przyszedł, lecz gdziekolwiek się znajduje. Różnicie się tylko stopniem wrażliwości i wyobraźni. A nie mam na myśli jedynie cierpień fizycznych, lecz również tonących i głodnych moralnie.

— Nie chcę brać udziału w reformowaniu świata. Nie wierzę w postęp moralny rodzaju ludzkiego.

— Lecz nakarmilbyś głodnego, bez względu na to, jaka ludzkość była i będzie. Pomniejszylbyś pewną sumę cierpień. Taki jest nakaz sumienia. Co więcej, gdybyś uratował tonącego, nie pytałbyś się przedtem o jego moralną legitymację do prawa życia. Nie wierzysz w moralny postęp ludzkości? Ale wiesz, że życie ludzkie może być lepsze lub gorsze, zdajesz sobie sprawę, w jakich warunkach jest więcej, a w jakich mniej cierpienia i niedoli. I ta już świadomość wystarczałaby dla podsycecia walki z upośledzeniem człowieka. Gdyby nawet z obrazu dziejów nie można było wysnuć wniosku o działaniu niezłomnych praw moralnych, nie zmieni to prawdy wyraźnej,

że to, co czynimy dla dobra ludzi, nie jest urojeniem, pomniejsza nieszczęśliwość świata. Nie przekreślaj znaczenia walk o naprawę życia, mimo wszystkie na tej drodze rozczarowania i klęski. Nie rzucaj cienia na zastępy bojowników i bohaterów, którzy poświęcili swe życie lub je oddali w imię umiłowanych idei, dla dobra ludzkiego. Nie zapominaj o całym trudzie myśli bez wytchnienia szukającej sposobów moralnego dźwignięcia człowieka. Dopóki duch tej walki i tego trudu istnieje, nie możemy wątpić, że kiedyś ludzie będą inni. A duch ten jest nieśmiertelny. Zło jest może wieczne, ale nie myślę, żeby nad ludzkością zawisła nieodwołalna klątwa supremacji zła. Dwa wielkie testamenty działają nieustannie, raz z mniejszą, kiedy indziej większą siłą: Chrystusa i Prometeusza. Nie samo piekło istnieje na ziemi. Również niebo — w podszeptach i dziełach serca, w tęsknotach i czynach sumienia, we współczuciu, tak nieraz daleko posuniętym, że ból drugiego człowieka staje się bólem własnym. O tym mówi już starobuddyjskie „ja jestem — ty”. I nie sama pospolitość, nie sama przyziemność rządzi światem. Człowiek wznosił się wysoko.

— Wysoko, jeśli ponad ludzi.

— Ale człowiek. I zawsze, wznosząc się, innych ku swym wysokościach pociąga i zbliża. Niewzniesieni na wyżyny najwyższe, dźwigają się przecież ze swych nizin. Nie wierzysz w postęp moralny ludzkości, lecz możesz należycie ocenić to, co w innych silniejsze niż w tobie: instynkt społeczny i oddanie się sprawom zbiorowości.

— Na samym początku naszej rozmowy powiedziałem i tego się trzymam, że życie jest przebogate — poza światem ludzkim.

— I w tym również co daje praca dla ludzi.

— Lecz grozi zatraceniem samego siebie.

— Zatracają się tylko słabi duchem, inni — przeciwnie, rozszerzają horyzont swej myśli i skalę swych doznań, stają się więksi. Więksi przez ekspansję.

— Co masz na myśli?

— Ekspansję jednostki — zwielokrotnianie swej jaźni. Pracując dla ludzi, docieram wszędzie, gdzie dotarła moja myśl, mo-

je dzieło. Jestem w innych. Promieniuję. Rozszerzam ramy mego bytowania na ziemi. Nie jestem tylko tam, gdzie jestem fizycznie. Jest to owo wzmożenie życia, które daje nam większą szczęśliwość. Dając, rozdając — zdobywam. Wszystko się splata wzajemnie, wszystko tworzy się w oddźwiękach. Napisałem książkę. Czytają ją ludzie znani mi i nieznani. Jeśli ich moje słowo zastanowi, umacniam się, wzrosła moja żywotność, zadziergnałem nowy węzeł z życiem. I nie zatracam siebie, jeśli idę do ludzi z tym, z czym chcę do nich iść. Pragnąc uzdolnić się do obdarzania ludzi, bogacę samego siebie w pragnieniu, by dać jak najwięcej. Moje życie wewnętrzne nabrzmiewa treścią i nabiera mocy, a w pewnym jej napięciu daję, chcę, muszę dać jej wyraz. Tych doznań, tej skali życia wewnętrznego nie może znać beztwórcza samotność, jedynie w kontemplacji pograżona lub tylko świat oglądająca. Jedni oglądają świat, inni coś doń wnoszą. Tym ostatnim nie odmówisz bogactwa życia wewnętrznego, do nich przecież — po wszystkie czasy — należą ludzie duchem najwięksi. Nie lekceważę Diogenesa, ty nie degraduj Newtona. Pracował dla ludzkości.

— Nie degraduję. Lecz ludzkość — poza wielkimi wyjątkami — składa się przecież z ludzi przeciętnych, a ci...

— Dlatego pracuje się dla podniesienia przeciętności.

— Lecz się jej nie lubi...

— Kto pracuje dla ludzi, ocenia ich nie tylko w tym, czym są, ale nade wszystko w tym, czym mogą być w przyszłości. W sądach zaś o tym, czym są, zapomina się, że ten sam człowiek, który należy do nieprzyjemnej przeciętności, mógłby w innych warunkach swego życia wysoko ponad nią wyrosnąć. Niemal każde normalne dziecko ma umysł cudowny, budzi zachwyt otoczenia. I cóż się później z tym umysłem dzieje? Tu moglibyśmy rozszerzyć ramy naszej rozmowy i zastanowić się nad wielkim zagadnieniem wychowania. Lecz na razie stwierdzimy, że w różnych krajach i czasach różne bywają poziomy przeciętności.

— Lecz zawsze jej nie lubimy.

— To dobrze. W tym przecież warunek walki o wartości nieprzeciętne.

— We wszystkim widzisz jakieś dobro.

— Nie we wszystkim, lecz wszędzie, gdzie tylko mogę je dostrzec.

— Z tym łatwiej żyć.

— Lecz nie sądz, że osłabiam moje widzenie zła. Widzę je we wszystkich objawach — od jawnych do najbardziej utajonych. Nie oszczędzam się. Nie uciekam od prawdy, choćby najdotkliwszej. Straszny, przerażającym stworzeniem może być człowiek. Wiem, na co go stać. Lecz żaden potwór moralny nie rzuca mi cienia na człowieka szlachetnego. Chodzi mi o to, żeby patrząc na życie ludzi, nie tracić z oczu i światel i cieni. Nie popadam ani w tani optymizm, ani w krótkowzroczny pesymizm. I wiem, że głębsza naprawa życia wymaga trudu olbrzymiego. Nie da się go dokonać tylko indywidualnie. Pracując dla ludzi, potrzeba ludzi, a czasem i wielkiej gromady, którą się powołuje do pomocy, do przeważania szali sprawy. A tłum nie zawsze jest motłochem. Ma swoje dobre porywy.

— Najsilniejsze w burzycielstwie...

— ...które może być twórcze, kiedy otwiera drogę nowym, pozytywnym wartościom. Przecież otwiera. Czy będziesz wymagał ode mnie przykładów historycznych? Mamy ich tak wiele i — aż nadto pod tym względem wyraźnych. Tzw. indywidualiści widzą w tłumie tylko zbiegowisko, a w masach tylko holotę. Jest to indywidualizm niewysokiego gatunku. Pogardzenie tłumem jest czymś odrażająco banalnym. Można by powiedzieć, że kto gardzi tłumem, składa jeszcze jeden dowód, że należy do tłumu — w najbardziej ujemnym sensie tego określenia. Nie chcesz brać udziału w pracy dla ludzi, ani indywidualnie, ani w tłumie. Nie namawiam cię do niej, bo niczego się nie dokona, jeśli ta praca nie pociąga. Wymaga ona pewnego napięcia woli, a nade wszystko, jak sądzę, pewnej temperatury sumienia. Ci tylko szerzą dobro, którym zło nie daje spokoju. Wszystko inne jest na terenach pracy społecznej tylko pozorem czy snobizmem. Nie wiele z tego mają ludzie. Co więcej — należało by zewsząd usuwać kómediantów pracy, blaźnów walki, bo ją paczą i fałszują.

— Jest ich jednak bardzo dużo. Tych, którym chodzi o wpływy i rozgłos...

- Zdobywają rozgłos, nie zdobędą sławy.
- Rozgłos im wystarczy. Ich niepięknym interesom może dobrze służyć.
- Lecz to nie powód, by porzucać sprawę społeczną. Nie wyrzekamy się prawdziwej monety dlatego, że istnieją fałszywe.
- Gorliwie broniśz swej postawy...
- Wszystko, o czym mówimy, prowadzi mnie do wniosku, który o tej postawie decyduje: że życie może być lepsze i piękniejsze.



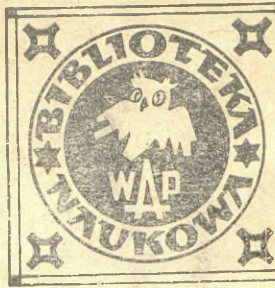
TREŚĆ

Str.

Zrównanie	3
Siły utajone	5
Człowiek pomniejszony	7
Obłąd	9
Kraniec	11
Psy	13
Kwiaty	15
Dzieci	16
Przechodnie	18
Ulga	23
Czas próby	25
Plan	27
Żywotność	29
Nowi ludzie	31
Pogotowie	33
Mówcy	35
Pisarze	37
Uczni	40
Artyści	42
Urzednicy	44
Wyobraźnia	46
Dla jutrzejszego czytelnika.	49
Słowo nauki	52
Słowo poetyckie	54
Słowo przyszłości	55
Dwie postawy	57

WARSZAWA SWEMU OBRONCY na Gwiazdke

Łowaszewski
Przyjaciel Zdobycy
ARZAD GOSPOD. W WARSZAWIE



322401

Cena 25 zł.